

Macierz Polska.

Tygodnik illustrowany dla dzieci i młodzieży

NR. 34.

CHICAGO, 22-go SIERPNIA (AUGUST 22-th), 1907.

ROK (Year) VIII

ENTERED AT CHICAGO, ILL., POST OFFICE AS SECOND CLASS MATTER



DZIECIĘ PORWANE PRZEZ ORŁA.

Z włoskiego
przetłumaczył
Ks. St. Siatka

Syn marnotrawny

DRAMAT W IV AKTACH.

(Ciąg dalszy.)

MAMUKA: Przeklęty!! Wprowadzasz nieporządek do ceremonii i zaciemniasz światłość...

ASSER: Lecz wytłumaczcież mi, kto jest ten Moloch, którego mam uczcić?!

MAMUKA: Słuchaj i wypełniaj, co ci rozkazują, bo inaczej kark ci przetrączę.

KURKAN: Odwagi poganinie, oto ziarnko kadzidła...

ASSER: Co mam z tem uczynić?

KURKAN: Przybliż się i spal je na ołtarzu Molocha...

ASSER: Ja nie znam żadnego Molocha, i nie będę palił żadnego kadzidła: dajcie mi wolność, uwolnijcie mnie stąd, bo się uduszę... tak więc wypełniasz twoje przyrzeczenia Mamuko, ty zdrajco!...

SCENA 7ma.

ZECHUR, ASFENES I CI SAMI.

ZECHUR: Oto patrzcie, jak się boi ten błazen.

ASFENES: Odważnie Asserze, my tu jesteśmy...

ASSER: Zechur, Asfenes i wy tu w tym przedsionku piekła? co tu robicie, co znaczy ta okropna jaskinia?

KURKAN: Obecność dwóch wypróbowanych przyjaciół powinna ci dodać odwagi; Asfenes i Zechur już przeszli czwarty stopień próby.

ASSER: Ale ja nie chcę przechodzić żadnych prób chcę się stąd wydostać jak najprędzej, inaczej umrę ze strachu...

KURKAN: Ofiaruj więc to ziarnko na ołtarzu a ceremonia skończona i będziesz mógł odejść.

ASSER: Nie, nigdy, przynigdy tego nie uczynię!

ASFENES: To ci pomożemy i zmusimy (stara się go przyciągnąć do ołtarza, słychać podziemne huki)

ASSER: Przynigdy! Wiary Ojców moich się nie zapre i Boga prawdziwego nie zdradzę!

MAMUKA: A więc bądź przeklęty przez Molocha!! i giń marnie!...

WSZYSCY: Przeklęty przez Molocha!!

MAMUKA: Cienie Molocha, zawiązać mu oczy i do ciemnicy go zaprowadzić!

ASSER: (gdy niewolnicy się zbliżają, kurtyna zapada) O Jechowo!...

AKT IV.

Pastwisko. Słychać świągot ptaszków pośród drzew; na pastwisku widać parę świni.

SCENA Isza.

ASSER: (siedzi na kamieniu, oddalony nieco od pastwiska; w podartych łachmanach, długi sękaty kij w ręce, wsparłszy głowę na dłoni — rozmyśla.)

— Ach straszne moje położenie! — Wesoły poranek, ptaszki budzone śpiewają hymny swemu Stwórcy, ale to mię nie rozwesela, w mej duszy noc pochmurna! wszystko wokoło mnie się śmieje, tylko ja jeden nie. Ta wesołość w naturze napawa mię goryczą. Serce mi pęka... Przeście przeście wesołe i niewinne stworzenia, zlitujcie się przynajmniej wy nade mną, gdyż nikogo nie mam, ktoby mi litość okazał, boteż i na nią nie zasługuję, sam sobie winien jestem, że się znalazł w takim położeniu.

— Tak jestem najędzniejszym ze śmiertelników zrównany z trzodą, a nawet gorszy od niej, bo ta przynajmniej może swój głód zaspokoić, a ja nie mam czem się posilić. Ach! okropne moje położenie! Strasznie mi głód dokucza... surowy i skąpy pan, rzuci mi czasem parę żołądzi, a przytem, i bez batów się nie obejdzie! Głód odbiera mi zmysły, ciało wynędzniałe, ledwo się mogę utrzymać na nogach. Lepiej nie myśleć o tem, gdyż jeszcze większy ból się wzmaga... lecz jak nie myśleć?... (płacze). Iluż tonajemników w domu ojca mego ma poddostatkiem chleba, a ja tu umieram z głodu!.. (płacze). Ale dobrze mi tak; opuściłem dobrego ojca, aby się poddać srogiemu panu, cóż zastrasza zamiana! A jednak nic już nie zmieni mego położenia... nie ma nadziei... nic mi już nie pozostaje jak śmierć. Lecz umierać w tak młodym wieku, umierać w opuszczeniu z głodu ze wstydu, z bólu serca, w takiej nędzy, w błocie? Asserze, i tyś szukał wolności!...

SCENA 2ga.

MAMUKA I ASSER.

ASSER: (spozrzęglszy Mamukę). Kogo ja widzę?... to on?... to mój morderca? Ach Boże! Co pocznę? zabiera się doucieczki.

MAMUKA: Zaczekaj! nie uciekaj pastuchu trzody chlewnej. — (Chwyta go i zatrzymuje.)

ASSER: Puść mię, morderco... ratunku! ratunku!

MAMUKA: Uciekasz nędziku, ale nie z moich rąk...

ASSER: Ty psie przeklęty! jeszcze tutaj nie dajesz mi spokoju.

MAMUKA: Psem mię nazywasz! Pilnuj lepiej tej trzody i nie puszczaj na te łąki, bo te do mnie należą, rozumiesz...

ASSER: To kłamstwo! Wstrętny obłudniku i synu kłamstwa... udajesz, że mię nie znasz...

MAMUKA: Znam cie bardzo dobrze — jesteś pastuchem świń i to lichym, gdyż nie umiesz strzedz trzody i wypuszczasz ją na cudze pola...

ASSER: Więc czego chcesz od nędznego pastucha ty wielki pan i potomek Salmañassara, odejdz stąd i nie wdaj się z pastuchem, bo to ci nie przystoi, a z drugiej strony nie zakłócaj mi spokoju.

ju, gdyż jedyne szczęście, jakie mi pozostało to to, kiedy ciebie niew idzę..

MAMUKA: To w taki sposób do mnie przemawiasz, urągając mi?

ASSER: Do oszukańca i mordercy który się jeszcze znęca nad swą ofiarą, nie mogę inaczej mówić... .

MAMUKA: Milcz! bo inaczej będziesz musiał do wszystko przełknąć, coś wypaplał, pastuchu jakis.

ASSER: Tak, dodawaj coraz więcej zbrodni do zbrodni, dopełnij dzieła, któreś rozpoczął. . życie moje tylko na włosku wisi. . przetnij więc tę nic jesteś już zdracą, oszukańcem, krzywoprzysięzcą, zostań więc także i mężobójcą... .

MAMUKA: Rozumiem od takiego biedaka, któremu gód w umyśle robi zamięszanie, nie można się spodziewać rozumnej odpowiedzi.

Nie zdajesz sobie sprawy z tego so mówisz i z tej też racji uważasz mię za prześladowcę... Lecz mylisz się w tem biedny pastuchu, nie miałem bowiem nigdy znajomości z tobą.

ASSER: Ja niestety miałem to nieszczęście, że cię poznałem... .

MAMUKA: Jak długo myślisz jeszcze marzyć?

ASSER: A kiedy ty przestaniesz kłamać?... Proszę cię, zrób mi tę łaskę przynajmniej i oddal się stąd, gdyż wzrok twój mię zabija.

MAMUKA: Żał mi cię doprawdy, pomimo nieszczęścia, jakie na ciebie spadło, nie chcesz się upokorzyć; zmiana zajęcia i zewnętrznej formy zazwyczaj oddziaływa na usposobienie każdego, lecz zarozumiały syn Eleazara nie poprawi się nigdy, chociaż zeszedł do rzędu pastuchów świń.

ASSER: I tyś śmiał udawać, że mię nie znasz?

MAMUKA: Wybacz, ale w takim miejscu... w takich brudnych łachmanach. . w tej dolinie, czyż mogłem przypuścić, że to ty jesteś. . Czyż doprawdy warto opuszczać Lidyę z 15ma talentami złota, ażeby potem w taką nędzę się do stać!

ASSER: A kto temu winien, jeżeli nie ty?

MAMUKA: Kto winien? Czy mam ci powiedzieć? Ty sam, a nikt inny; nie obwiniaj więc drugich! Gdybym nie czuł twego cierpienia, które mię do głębi przejmuję...

ASSER: Kłamliwe współczucie!...

MAMUKA: Przypomnij sobie tylko ową noc... .

ASSER: Nie pragnę sobie nic przypominać... .

MAMUKA: Kiedyśmy zeszedli do podziemi Mołocha...

ASSER: Nie chcę nic słyszeć (oburzająco).

MAMUKA: (idzie za nim). Tylko jedno słowo...

ASSER: Milcz, obłudniku!

MAMUKA: Jedno ziarnko kadzidla, które gdy byś rzucił na ołtarz.

ASSER: Kiedyż wreszcie przestaniesz mię męczyć?

MAMUKA: Lecz głupiec zawsze głupcem zostanie...

ASSER: Rzeczywiście byłem głupcem, uważając cię za przyjaciela... .

MAMUKA: Tak, wpadłeś w nędzę i walcząc z głodem, musisz paść wieprze... . wstyd!... . hańba!..

ASSER: Nacieszyłeś się więc widokiem mej nędzy, to ci wystarczy, zostaw mię już w spokoju i odejdz stąd na zawsze.

MAMUKA: Mamże opuścić tak drogiego przyjaciela, będącego w największej potrzebie? tożbym miał wieczne wyrzuty sumienia, Asserze, tego nie uczynię pod żadnym warunkiem; chciałem ci tylko przypomnieć twoje lekkomyślne postępowanie i zbyt cię tem obraziłem, przebac mi więc, jak przyjacielowi, i zapomnijmy o tem, co było.

ASSER: Czy na nowo przyszedłeś mię kusić?

MAMUKA: Słuchaj Asserze: nie przybyłem tu w żadnych złych zamiarach, bynajmniej — ale dowiedziawszy się, w jakim znajdujesz się położeniu, przybyłem do ciebie, jako wierny przyjaciel, ten sam, jakiegoś poznał w Lidy... .

ASSER: Ty, moim przyjacielem?

MAMUKA: I czy śmiałyś zaprzeczyć? Czyż obecność moja tutaj nie dowodzi tego? Czyż kto inny zjawił się tu oprócz Mamuki? Czyż tu się zjawił Jona, Zechur, lub inni, aby cię pocieszyć?... .

ASSER: Więc czego żądasz?

MAMUKA: Chcę cię uwolnić z niewoli tego tyrana, który, ogołociwszy cię ze wszystkiego, chce cię pozbawić życia... . Czyż to nie dowód, że cię kocham! Otóż od tej chwili nadarza ci się wolność, którą możesz zyskać za najniższą cenę, wszystko zależy od ciebie.

ASSER: Lecz cóż ja mogę ofiarować, kiedy nawet okruszyny chleba nie mam, ażeby głód zaspokoić?... .

MAMUKA: Ja nie żądam pieniędzy, tych nie potrzebuję, patrz (pokazuje mu trzos z pieniędzmi)... . samo złoto... . Mamuce nie zabraknie nigdy pieniędzy...

ASSER: Jeżeli więc jesteś moim przyjacielem, jak zapewniasz, to daj mi tyle pieniędzy, abym mógł spłacić mego skąpego pana... .

MAMUKA: Właśnie po to tu przybyłem.

ASSER: Jeżeli tak... . to ci wierzę.

MAMUKA: Wiedz atoli, że ręka rękę myje; bądź mi posłuszny, a sownie cię wynagrodzę.

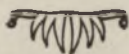
ASSER: Czy może znów chciałbyś mię zaprowadzić do tego piekielnego podziemia? Przenigdy nie!

MAMUKA: Ależ bynajmniej, wcale o tem nie myślę, bagatelnej rzeczy żądam od ciebie. Oto, Asserze (pokazując mu zwój papieru) oto pergamin, czytaj... .

(Ciąg dalszy nastąpi).

Do szczęśliwych dzieciak.

Dziewiąta wybiła na zegarze ściennym,
 Działwa się bawiła w salonie obszernym,
 To w kotkę i myszkę, w babkę i zająca,
 Ten tego łapie, dogonił, potrąca.
 — Dzieteczki, spać idźcie, bo już wielka pora,
 Dość już tej zabawy dzisiaj od wieczora...
 Oczki wasze senne i nóżki pomdlały,
 Ty daj dobry przykład, mój Tadziumiu mały.
 Ale nasz Tadziumio, mimo tej zachęty
 By zostać w salonie, wynalazł wykręty.
 — Matusiu, natychmiast, wprzód ty zagrać raczysz
 My sobie potańczym, zgrabniuchno, zobaczysz...
 Dokładnie, uważnie i z piruetami,
 Jakby nauczyciel był pomiędzy nami.
 Na tę prośbę synka Mama z sofy wstała,
 Polki i mazurki dla swej działwy grała.
 Idzie tan ochoczy, wyskakują żwawo,
 A zawsze do taktu, to w lewo, to w prawo,
 Nawet mały Janek na rękę piastunki,
 Nóżki, rączki zwracał w przeróżne kierunki.
 Przeszło dwie godziny płaśali wesoło,
 Po całym salonie kręcą się w około...
 Aż wyrzekła Mama: — Dość już tego krzyku,
 I pobiegła działwa tam do pokoiku,
 Gdzie ich miękkie, czyste łóżeczka czekały,
 A nad każdym wisiął święty obraz mały.
 Rozebrawszy działki, Mama je okryła
 I całując każde do snu otuliła.
 Ciepło dzieciom było, cichutko, więc śnili,
 Ze Mama im grała, a oni tańczyli...
 A na dworze burza śnieżna tak szalała,
 Jakby w swych objęciach ziemię zmrozić chciała.
 W ponurych izdebkach drżały z zimna działki,
 Bo zabrakło drzewa w kominku u matki,
 Jest także na świecie wiele takich dzieci,
 Dla których sieroctwa smutna gwiazda świeci.
 Wy, Działki szczęśliwe, o cierpiącej braci
 Pamiętajcie zawsze, a Bóg wam zapłaci.



Legenda o zamku tysiąca dziur.

Zamek o tysiącu dziur jest ruiną dawnej rezydencji królewskiej, która miała niegdyś swoje dobre czasy. Kiedy w długie zimowe wieczory okoliczni włościanie zasiadają przy kominkach, zdarza się, że jaki staruszek wśród ogólnego milczenia, przerywanego tylko wieczorną muzyką świerszcza, opowiada historię, słyszaną jeszcze w pachołectwie z ust swojego dziada.

W czasach, o których wspomina owa legenda, Zamek o tysiącu dziur nazywał się pałacem d'Heilly

i był własnością Ganelona, jednego z dwunastu parów Karola Wielkiego.

Posiadłość ta przewyższała swą wspaniałością pałac najzamożniejszych rycerzy, a nawet zamek królewski. Nigdzie nie widziałeś rowów tak szerokich, murów tak grubych, tyłu korytarzy, takich drzwi dębowych i tyłu sal ogromnych, nigdzie takiej obfitości ozdób ze złota i srebra. Siedm wież, grubych jak skały, groźnie panowało nad wierzchołkami drzew otaczającego je lasu, zda się urągając wrogom Karola.

Zdarzyło się pewnego razu, że dumny Ganelon poróżnił się był z paladynem Rolandem, synowcem królewskim. — ubiegając się z nim w czasie jednego bankietu, o miano najdzielniejszego rycerza w całym chrześcijaństwie.

Spór rozstrzygnęli zebrani panowie, obwołując Rolanda za najdzielniejszego z rycerzy.

Ganelona ten wyrok dotknął srodze: w zawiśniętym swym sercu poprzysiął on zemstę rywalowi.

Korzystając z ciągłych walk króla z Saracenami, których gnębił mężny Roland, Ganelon za pieniądze wydał wrogom swego towarzysza bojów i zabaw rycerskich.

Mężny i szlachetny paladyn Roland, zdradziecko wciągnięty w zasadzkę, zginął w wąwozie górskim zwanym Ronceraut, w Pirenejach.

Historję jego szlachetnego życia i bohaterkiej śmierci w walce z niewiernymi opiewają liczne pieśni ludowe i podania.

Po dokonaniu tego szkaradnego czynu zdrady, Ganelon, czy to w chęci zagłuszenia wyrzutów sumienia, czy też w dzikiej radości ze zguby swego rywala, oddał się nieustającym ucztom i zabawom.

Właśnie na jednej z hucznych uczt Ganelona, w kilka miesięcy po śmierci nieszczęśliwego Rolanda, biesiadowali zebrani parowie królestwa. Goście ochoczo pili ze złotych puharów najprzedniejsze wina. Służba krążyła wśród biesiadników z pełnymi półmiskami mięsiwa. Wspaniałe komnaty napępniały wesoły gwar i śpiewy.

Nagle wszyscy zamilkli.

Przeraźliwy dźwięk rogu dał się słyszeć u bramy zamkowej. Poznano po nim króla Karola „o kwiecistej brodzie.“ Ciężki tentent koni i brzęk zbroi doszedł uszu uczujących, a po chwili rozwarły się nagle podwoje sali.

Rycerze powstali ze swych miejsc z okrzykiem: Król podszedł do Ganelona i groźnie zapytał: — Co uczyniłeś z synowcem moim, Rolandem? Zdrajca zbladł i milczał.

— Ganelonie — powtórzył król — co zrobisz z paladynem Rolandem?

A kiedy nikczemnik milczał ciągle, król rzekł:

— Coś zrobił z najdzielniejszym z Franków, moim ukochanym synowcem?... Zdrajco, sprzedajeś go Saracenom.

— Panie! — odrzekł wreszcie Ganelon — przysięgam, że nie sprzedał paladyna; przysięgam na siedm wież mojego zamku. Niech-że runą w tej chwili, jeśli skłamał!

Zaledwie skończył te kłamliwe słowa, gdy nagle rozległ się straszny trzask i huk piorunu. Siedm wież zachwiało się w fundamentach i sześć z nich runęło. Jedna jeno została, ażeby świadczyć o zdradzie Ganelona.

W tej chwili ujęto zdrajcę i skępowanego wrzucono do lochu, a w kilka dni później spotkała go straszliwa, okropna kara, jaką zwykle w one wieki zdrajcom wymierzano: Ganelon został zaszyty w worek z wilczej skóry i poszarpany przez psiarńnię królewską.

Taką jest legenda o Zamku tysiąca dziur, często opowiadana w zimowe wieczory.

Z zamku Ganelona pozostały tylko ruiny.

Smutne są i straszne. Dzika roślinność pokryła do połowy gruzem zasypane rowy; wielkie stopy kamieni i liczne a ciemne otwory lochów i piwnic usprawiedliwiają nazwę zamczyka. Jedyna pozostała wieża, pomnik krzywoprzysięstwa, zdaleka przypomina przechodniom zbrodnię Ganelona.

z franc. L — wicz.

Kwiatek podziemny.

Dokończenie.

Szczepan, ponury, zachmurzony robotnik, podał mu łom, i pierwszy zaczął opukiwać nim sufit.

— Cóż, słaby? — zapytał Piotr, ojciec Olesi.

— Słaby! Miękki jak ser. O, jaka szpara; tu druga, duża. Żle, trzeba uciekać.

— Po co uciekać? — zamruczył z niezadowoleniem Szczepan. — Strach ma wielkie oczy! Rozwalimy ścianę, rozpiłujemy kamień i wówczas podziemy. Zdamy na czas!

— A jak nas przywali?

— Będzie mniej o jednego, a może o dwóch, lub trzech. Nie wielka szkoda. Czy się będziemy strzedz, czy nie — i tak pod ziemią skończymy. Ojciec twój tu skończył, brat twój tu skończył, i ty tu skończysz, i ja skończę, i wszyscy tu skończymy. Tu — jeden grób! — mówił prorokując Szczepan.

Nikt mu nie odpowiedział. Wszyscy, jakby przytłoczeni tym prorocstwem, pochyłili głowy niżej jeszcze, niby czekając, że lada chwila sufit się osunie i kamienna bryła zwali się na nich i zadusi.

— Tatusiu! — zawołała Olesia, która przez ten czas siedziała w piasku i lepiła domek.

— Co, dziecko? — odpowiedział ojciec, zwracając ku niej głowę.

— Będziecie walić ścianę?

— Będziemy. Chcesz popatrzeć?

— Chcę!

— Dobrze. No, bracia, czas do roboty. Odpoczęliśmy! — westchnął Piotr, i przełknawszy ostatni kawałek chleba, wstał i przeżegnał się.

Wszyscy poszli za jego przykładem.

— Usiądź tu, Olesiu! — rzekł Piotr i odniósł dziewczynkę na drugą stronę sklepienia. — Czy dużo trzeba jeszcze podpiłować?

— Nie dużo.

— No, to kończ!

Szczepan wsunął w ścianę boczną ostry, żelazny trójkąt, postawił na nim lampę i zagłębiwszy nogi w mokry piasek, począł podpiłowywać ścianę krótką piłą. Drugi robotnik upoczywie, jak dziecko, kuł ścianę pod sufitem.

Obydwaj pracowali w milczeniu, obsypani sadzami.

— Gotowe! — rzekli wkrótce.

Ściana, szeroka i wysoka na jakieś pięć łokci, obkrajana ze wszystkich stron, czekała, aż ją przewrócą.

Dziewczynka zamieniła się cała we wzrok. Nie raz już widziała tę robotę i ogromnie się jej podobała. I nic dziwnego. W życiu kamieniołomów nie ma nic bardziej zajmującego, jak wywalenie ściany. Gdy ta praca pójdzie dobrze, wynagradza czasami cały dzień ciężkiego trudu.

Jeżeli ściana obali się lekko i nie rozsypie — robotnicy oddychają swobodniej. Wtedy robota opłaci się. Lecz jeśli się rozsypie, — praca przepadła.

— Kładźcie podściółkę, prędzej! — rozporządził Piotr.

Robotnicy ruszali się żwawo, nanosili górę piasku, na który miała paść ściana, i zrównali go.

Ach, żeby to tylko nie był miękki kamień — westchnął Piotr, pokazując na kilka zdradzieckich żyłek ceglanych na ścianie.

— Zdaje się, że miękki!

— Tak, miękki! — rzekł stary robotnik. — Bój się! Sam drobiazg się posypie!

— Nie krakaj, stary kuku! — krzyknął Szczepan. — I tak nam tu nie bardzo miło!

— Zaczynać?

— Zaczynać!

Przy „ścianie” stanęli dwaj robotnicy, reszta koło podściółki, niedaleko.

I w wąskim sklepieniu zrobiło się nagle cicho, jak w grobie. Słychać było tylko trwożne bicie serca, lekki trzask lamp, szczęknięcie zębów starego, który powstrzymywał się od kaszlu, aby nie przewrócić ciszy, i dziwny szmer w zarzuconych koryta-

rzach, obsuwających się w oddali kamieni, ze ścian i sufitów.

— Boże, zmiłuj się!

„Ściana” drgnęła.

— Ba — — czno — — — ść!

Rozległ się trzask. Ściana się przewróciła i padła na podciółkę, a w tej samej chwili podniosła się ciemna chmura gęstego pyłu.

— Ach! Żeby cię!... — wyrwało się z czyichś ust.

Chmura się rozplynęła i ukazała się potrzaskana w drobne kawałki ściana, i gniewne twarze robotników, ze ściśniętymi pięściami. Stali nad rozsypaną ścianą w bezsilnym gniewie, zrozpaczeni.

— Otóż macie nagrodę! — syknął Szczepan, błyśnawszy oczami. — Pracuj, pracuj, męcz się i wszystko na nic! Zaczynaj na nowo, — i znów druga się rozsypie.

— Kiepski teraz kamień, bardzo kiepski, — kręcąc głową, mówił stary, — przyjdzie umrzeć z głodu!

— I pomrzemy — syknął Szczepan.

— Tatku, ja chcę do domu! — szepnęła Olesia.

— Dobrze, dobrze, idź do domu! — rzekł przygnębiony ojciec, wziął dziewczynkę za rękę i wyprowadził na korytarz.

— Do widzenia, Kwiatku! — zawołali robotnicy.

— Do widzenia!

Po odejściu Olesi w sklepieniu zrobiło się jeszcze ciemniej i smutniej.

IV.

Ojciec, oświecając drogę, prowadził Olesię ostrożnie, miejscami przenosząc ją przez leżący na drodze żwir.

— A wiesz tatku, dzisiaj sufit się zawalił. O mało mnie nie przygniół! — opowiadała Olesia.

— Co ty mówisz? Gdzie? — szepnął ojciec, pobladłszy.

— W pierwszym korytarzu.

— Złękłaś się, dziecko?

— Nie! Ale Żuczek się złąkł. — Tatku, Jasiak mnie drażni! Gdy szłam do ciebie, spotkałam go i pytam się: — Czy to ty, Janku? A ten zaczął gadać głupstwa. Potym złapał Żuczka i męczył go. Wykrzycz go za to!

— Dobrze, dobrze. Nie bój się, już ja go nauczę. Ale pamiętaj, dziecko, żebyś mi więcej nie przychodziła tutaj; możesz zbłądzić, albo cię kamień przytłucze. A wiesz — dodał, starając się być poważnym — tu wilki biegają!

— Naprawdę? — uśmiechnęła się z niedowierzaniem Olesia.

— Naprawdę. Takie straszne, złe wilki. Mogą cię zjeść!

W oddali zabłysnął okrągły otwór wyjścia.

— Tatku, — zawołała, wrywając się z jego rąk Olesia — teraz już sama pójde.

— Poczekaj, zabłądzisz!

— Nie bój się, tatku!

— Więc biegnij prędzej.

Ojciec zatrzymał się i rozpromienionymi oczami patrzył za oddalającą się Olesią, która biegła razem z psem do wyjścia.

— Powiedz mamie, — wołał za nią, — że dziś będę jeszcze w kamieniołomie. Niech sama przynosi obiad, a ciebie niech tu nie puszcza!

I spojrzawszy raz jeszcze za Olesią, odwrócił się i zniknął.

Dziewczynka była już przy wyjściu, gdy nagle Żuczek zawrócił.

— Żuczek, Żuczek! — wołała Olesia.

Lecz Żuczek nie słuchał. Olesia pobiegła za nim. Pies rzucił się w bok. Olesia znów za nim. Żuczek znowu w bok.

Dziewczynka przerzucała się z jednego korytarza w drugi, z tego w trzeci, a Żuczek biegł ciągle naprzód.

— Żuczek, Żuczek! — wołała bezustanku Olesia za głupim psiakiem.

Zły duch podziemny ciągnął za sobą psa i goniącą go dziewczynkę, tak, jak już nieraz wciągnął w swe nieskończone labirynty nie jednego robotnika. Zły duch potrzebował nowych ofiar!

V.

Późno wieczorem matka Olesi wróciła z miasta.

— Gdzie „Kwiatek”? — zapytała staruszki.

— Nie wiem. Szukałam jej u wójta, u nauczycielki, na plebanii, — nie ma jej nigdzie. Widocznie Piotr zatrzymał ją u siebie; nosiła mu obiad.

— W kamieniołomie? — ze zdziwieniem zapytała matka. — Po co on tam trzyma dzieciaka. Może się zaziębić!

I wybiegła z domu.

Po omacku trafiła na korytarz, gdzie pracował jej mąż.

— Gdzie „Kwiatek”? — zapytała.

— Gdzie?... W domu! — odpowiedział, blednąc.

— Nie ma jej w domu. Nie ma jej we wsi. Gdzie ona jest, Piotrze?

Patrzyła na męża szeroko otwartymi oczami. Robotnik zbłądł silniej jeszcze.

Przez minutę trwało milczenie. Rodzice porażeni, milczeli, nie śmiąc wypowiedzieć swych podejrzeń.

— Więc ona jest tutaj! — głucho wyrzekł Piotr.

— Zabłądziła! — szepnęła matka.

Łom wypadł z ręki robotnika, chwycił się za głowę.

— Za mną! — wyjętną i rzucił się ku wyjściu.

Na sto kroków od wyjścia, gdzie się rozstał z Olesią, rzucił się na ziemię. Na piasku widać było nie zatarte ślady psich łap. Prowadziły do labiryntu!

Robotnik zerwał się, obejrzał dziko, i zanim oścaczający go zdołali się opamiętać, jednym skokiem zniknął w labiryncie.

VI.

Przeszło trzy dni. Piotr nie wracał; sądzono, że zginął. Lecz tak nie było.

Czwartego dnia zjawił się, lecz jakiś straszny! Bez kropli krwi w twarzy, pokryty sadzami, z obłąkanymi oczami.

Nieszczęśliwi człowiek przez cały czas szukał Olesię. Błądził po korytarzach najdalszych, krzyczał, wołał, modlił się.

W jednym korytarzu lampa mu zgasła. Odtąd błądził po omacku, nie zwracając uwagi na sypiący się na niego piasek i kawałki kamienia.

— Olesia! Olesia! Kwiatku! — wołał ciągle.

Lecz podziemie nie dawało odpowiedzi.

Od tego czasu Piotr porzucił na zawsze dom i wieś, błądził nieprzytomny po korytarzach labiryntu, ciągle wołając rozpaczliwie:

— Olesiu! Kwiatku mój! Słoneczko moje!

CZERWONOGARDLEK CZYLI GAJÓWKA RUDZIK.

Pewnego ostrego, burzliwego zimowego wieczora, wszedł do izby biednego wyrobnika Klina chłopczyk Tomaszek i zamawiał go do rąbania drzewa u swych rodziców. Ciekawy chłopczyzna rozglądał się po izdebce i spostrzegł w kąciку jodełkę, na której siedział śliczny maleńki ptaszek, z czerwonym gardziółkiem.

„Czerwonogardłek! czerwonogardłek! zawołał Tomaszek radośnie.“ Oh, ja już tak dawno wdycham za takim ptaszkiem. Ja go kupię; dam wam nowiutkiego błyszczącego szustaka za niego.“ Ale wyrobnik rzekł: „Nie mam go na sprzedaż; zanadto przyzwyczaił się już do mnie, abym miał serce pozbyć się go. Patrz chłopcze, jak porywa muszki z mych palców. Tomaszek, któremu się ptaszyna bardzo podobała, dokładał coraz więcej krajcarów, aż dociągnął do 24. Wtedy rzekł Klin: „ponieważ jestem bardzo biednym, a pieniędzy bardzo potrzebuję, to weź go za tę cenę.“

Uradowany Tomaszek mówił: Lecz teraz nie mam więcej, jak tylko tego jednego szustaka, ale w krótko będę miał resztę, gdyż za każde ładne pismo w szkole dostaję od ojca krajcar, więc najdalej w trzech tygodniach spodziewam się posiadać całą

wymienioną sumę, aby tego ślicznego ptaszka zapłacić gotówką. Schowajcież mi go, aż do tego czasu ale z pewnością“.

„Schowam z pewnością,“ odpowiedział wyrobnik a Tomaszek schował swego szustaka do kieszeni. Gdy Tomaszek szedł z powrotem do domu, spotkał zgarbionego staruszka z białymi jak śnieg włosami; szedł z trudnością, chociaż podpierał się na grubym kijku. Na widok biednego, słabego staruszka, wielki żal ścisnął jego dobre serduszko i pomyślał: „Czyby to nie było dobrze gdybym dał białego szustaka temu biedakowi? — ale w takim razie, kiedyż wykupię prześliznionego ptaszka.“ Lecz litość przemogła, i bez długiego namysłu oddał szustaka starcowi i rzekł sam do siebie znikając z oczu biednego: „Nie na darmo nauczyła mnie mama tego przysłowia:

Dla osłodzenia niedoli biednego.

Umiej się wyrzec szczęścia własnego“.

II

Siwowłosy staruszek był ojcem wyrobnika Klina; szedł dwie mile, aby syna i rodzinę jego odwiedzić. Zaledwie przywitał się z synem, zaczął mówić: „Jak dobrzy ludzie muszą być w tem mieście! Gdym wchodził w bramę tego domu, spotkałem ślicznego, uprzejmego chłopczyka, który mnie grzecznie pozdrowił i z własnej ochoty dał tego szustaka.“ I trzymając go w ręku, pokazywał synowi.

Młody Klin zapytał: „Czy ten chłopczyk miał złote włoski, ciemnobrązowy surducik i czerwoną kamizelkę?“

„Tak jest,“ odpowiedział starzec, „to jest ten sam“.

„Jakże się z tego cieszę,“ rzekł wesoło wyrobnik — „Był on u mnie i chciał za tego co po jedlince skacze dać 24 krajcary, lecz nie miał jeszcze tyle uzbieranych ze swe piękne pismo w szkole; teraz jednak dostanie go w podarunku odemnie i to zaraz jutro zaniósę mu go, gdy pójdę do roboty.“

Na drugi dzień, zaledwie Tomaszek oczy otworzył, zobaczył w kącie swego pokoiku zieloną jedlinkę po której czerwonogardłek wesoło skakał i świergotał. Klaskał w rączki Tomaszek i skakał z radości, a matka mówiła mu: „Staruszek ten, któremu dałeś szustaka, jest ojcem rębacza, a on ci darował tego ładnego ptaszka wraz z jedlinką, w uznaniu twego litościwego serduszka,

„O, jakże się to przedziwnie wszystko złożyło!“ zawołał Tomaszek. Uczyniłem to na wspomnienie pięknego przysłowia, któregoś mateczko niedawno nauczyła, a wyrobnik Klin postąpił według następującego:

„Kto umie bez namysłu nieść ulgę w potrzebie, Zasługuje na wszelkie uznanie dla siebie,

MACIERZ POLSKATYGODNIK POWIEŚCIOWO ILLUSTROWANY
DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

wychodzi co czwartek, każdego tygodnia

Adres redakcyj: **MACIERZ POLSKA,**
81 INGRAHAM STREET, CHICAGO, ILLINOISPrenumerata roczna wynosi \$1.00. — Pojedynczy numer 3 centy
lub miesięcznie 10 ctAdres administracyjny: **MACIERZ POLSKA,**
141-143 W. DIVISION STREET, CHICAGO, ILL.**MACIERZ POLSKA****AN ILLUSTRATED WEEKLY FOR CHILDREN AND YOUNG PEOPLE**
Issued at Chicago every Thursday.Editor's address: **MACIERZ POLSKA,**
81 INGRAHAM STREET, CHICAGO, ILLINOIS

Subscription \$1.00 a year or 10 cents a month. Single copy 3 cents

Address of Business Office:

THE POLISH PUBLISHING CO.

Publishers of

MACIERZ POLSKA
141-143 WEST DIVISION STREET, CHICAGO, ILLINOIS**Rozmaitości.****NAJDAWNIEJSZY TUNEL.**

Kto czytał opis przebijania najdłuższego teraz na kuli ziemskiej, tunelu symplonńskiego, ten musiał od razu nabrać przekonania, że takiego dzieła, do którego potrzeba niezliczonych przyrządów, i maszyn, elektryczności i pary, świdrów elektrycznych, olbrzymich wentylatorów, dynamitu, nadzwyczaj dokładnych narzędzi mierniczych, bardzo dobrych map topograficznych, ha! nawet pomocy astronomii, nie można było dokonać w czasach, gdy tego wszystkiego nie było do dyspozycji. A jednakowoż zrzucił przypadek, iż pokazało się, że budowa tunelu nie jest czemś w dawnych czasach niebywałem.

Berthelot, profesor Uniwersytetu, zwrócił uwagę, że jeszcze w roku 700 przed naszą erą, król Ezechiasz, panujący od roku 699 do 727 w Jerozolimie, przebił tunelem górę Siloa w celu przeprowadzenia przezeń wodociągu, o czym świadczy odpowiednia wzmianka w Piśmie św. Starego Testamentu. Wzmianka ta pozostałaby wszakże bez znaczenia, gdyby nie przypadek, iż w r. 1880 dzieci kąpiące się w sadzawce znalazły tablicę kamienną z wyrytym na niej napisem w znakach starohebrajskich tej treści: „Przebiecia dokonano. Gdy robotnicy byli oddzieleni od siebie przez ścianę na trzyłokcie grubości, słyszeli się wzajemnie i zeszli się razem po jej przebicciu w miejscu, gdzie skała nad ich głowami miała sto łokci wysokości. Wtedy też popłynęła woda przez długość 1,200 łokci do cysterny“. Badano przeto dalej miejsce, gdzie ową tablicę z napisem znaleziono, i przekonano się, iż w pobliżu jest

otwór, prowadzący do tunelu, przebijającego rzeczywiście na wylot ową górę Siloa.

Tunel ten, budowany widocznie bez kompasu znanego zresztą na Wschodzie od czasów bardzo starożytnych, z dwóch stron naraz, jak o tem świadczy kierunek śladów od uderzenia narzędzi, służących do przebijania skały, nie ma kierunku prostego, lecz linii przypominającej S; dlatego długość jego wynosi 531 metrów, co odpowiada mniej więcej przytoczonej liczbie 1,200 łokci, lubo odległość od końca wynosi w prostej linii tylko 332 metrów, tak, iż przez to skrzywienie przyczyniono sobie w skale roboty na 199 metrów.

Miejsce zetknięcia się obydwóch kierunków przebijania tunelu znajduje się w odległości 246 metrów od źródła, 285 m. zaś od cysterny. Szerokość tunelu waha się między 61 a 92 centymetrami, wysokość wynosi na końcu południowym trzy metry, zniża się wszakże miejscami aż tylko do 60 centymetrów, prawdopodobnie z przyczyny zbyt wielkiej trwałości skały w tych miejscach. Wysokość północnego wynosi 180 metrów. Spód tunelu ma kierunek prawie poziomy, bo różnica wysokości między jednym a drugim otworem wynosi tylko 30 centymetrów.

Jak tego dowiedziano, by w braku wszelkich przyrządów niwelacyjnych nadać właściwy spadek tunelowi, jak przebijano skałę, gdy nie miano ani dynamitu, ani narzędzi stalowych, ani świdrów elektrycznych?

W każdym razie, uwzględniając ówczesne trudności roboty, można powiedzieć, że tunel jerozolimski, mający tylko 531 metrów długości zasługuje na miano większego dzieła technicznego, niż tunel symplonński, mający prawie 20 kilometrów długości.

ORYGINALNY SPOSÓB ODEBRANIA PIENIĘDZY.

Pewien pasażer amerykańskiego statku parowego zgubił torbę podróżną, napełnioną pieniędzmi w domu gry, stojącym tuż nad brzegiem morza. Kapitan okrętu, któremu ów podróżny opowiedział swą przygodę, udał się do właściciela domu gry i oświadczył mu, że jeśli się torebka razem z pieniędzmi nie znajdzie w przeciągu pół godziny, w takim razie zabierze przemocą cały dom na swój statek.

Po upływie oznaczonego terminu kapitan zjawia się znów w domu gry, lecz tam, zamiast oddania zguby, usłyszał od właściciela zakładu przekleństwa i groźby. Wtedy rozgniewany marynarz dał znak kilkudziesięciu robotnikom okrętowym, których z sobą przyprowadził, a ci w jednej chwili opasali cały dom najgrubszymi linami okrętowymi, poprzednio przygotowanymi, następnie kapitan wydał rozkaz swojemu maszyniście i statek zaczął zwolna się po-

ruszać, liny zaś cпасujące dom, wyprężyły się coraz bardziej, a cały budynek trzeszczał.

Wobec tak krytycznego położenia właściciel zakładu podał się i ową torebkę podrózną razem z jej zawartością wyrzucił przez jedno z okien domu.

WOJNA W OBŁOKACH.

Wojna w obłokach — oto najnowsza zdobycz cywilizacji, w chwili, kiedy wszyscy i wszędzie mó-

nowe poruszane gazem: „Lebaudy“ i „Patrie“, na cele wojenne i zamówiła dwa dalsze jeszcze większe balony wojenne: „La Republique“ i „Democratie“, których budowa jest właśnie w toku. W ślad za tem krząta się i cesarz Wilhelm gorączkowo około zaopatrzenia swej siły zbrojnej w podobne smoki napowietrzne, któreby, krążąc pod obłokami, ziały na ziemię, w kierunku armii nieprzyjacielskich gradami bomb, kul i kartaczy.

W Niemczech czyniono, jak wiadomo, próby z



PRZY PISANIU LISTU.

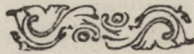
wią o potrzebie powszechnego, a bodaj częściowego rozbrojenia, kiedy narody uginają się pod ciężarami na cele wojskowe, kiedy pokojowa konferencja w Hadze obraduje.

Jest w tych zapewnieniach i dążnościach pokojowych taka zaiste ironia, że sam Mefistofeles chyba już nic bardziej przewrotnego nie wymyśli.

Francja zakupiła od braci Lebaudy (znanych wynalazców na polu aeronautyki) dwa okręty balo-

dwoma modelami balonowych statków wojennych, a to pomysłu hr. Zeppelina i majora Parsevala; ten drugi daje się dowolnie i łatwo sterować. Obaj wynalazcy pracują gorliwie nad dalszemi ulepszeniami potwornych narzędzi masowego mordu, a cesarz Wilhelm, zaniepokojony balonami francuskimi, polecił niedawno majorowi Grossowi, komendantowi niemieckiego batalionu aeronautycznego, aby w jak najkrótszym czasie w warsztatach okrętowych woj-

skowych zbudowano „szczególny niemiecki statek napowietrzny“, któryby pod względem wielkości i pojemności (na rezerwoary gazowe i skład amunicji) przewyższył okręty balonowe francuskie.



KOGO TY KOCHASZ.

Kogo ty kochasz, dziecię?

Powiedz-że mi.

Dla kogo tve serduszko

Miłością drży?

Kogo ty kochasz dziecię

Nad życie swe?

Dla kogo czucia twoje

I myśli tve?

Ja kocham Boga w niebie

Co tej ziemi

Dał w trudach moc wytrwania,

Zdrój łaski swej.

I kocham swych rodziców

I krewnych swych,

I wszystkich braci — ludzi,

Współbliźnich mych.

I kocham ziemię moją

I wszerek i wzdłuż,

Jej ciernie i jej głogi,

Jej kwiaty róż.

Te łąki i te łany,

To niebo wżwyz,

I stary ponaddrożny,

Zczerniały krzyż.

I kocham niskie chaty,

Gdzie dobry lud.

Co chętnie nam poświęca

Swój ciężki trud.

I lasy, kędy echa

Żałości brzmia,

I ciche te cmentarze,

Gdzie zmarli śpią.

Ja kocham całą duszą

Mej ziemi treść,

Jej sławę z lat minionych;

Jej dawną cześć

I pieśń, co wiarą dźwięczy

I leci, hej!

I przeszłość mej ojczyzny

I przyszłość jej!

Or.-Ot.

CHIŃCZYK.

W salonie, na etażerze stał sobie chińczyk.

Był to prawdziwy, najprawdziwszy chińczyk, bo zrobił go z najdelikatniejszej porcelany żywy chińczyk z długim warkoczem. I dlatego, że pochodził z dalekich stron, postawiono go na honorowym miejscu, bo wszyscy przecież wiemy, że, niestety, ceni się u nas więcej rzeczy obce, niż swoje, które mamy pod ręką.

Ojcu zdawało się i często o tym mówił, że ten chińczyk nie jest prawdziwy, i że nie jest on dziełem rąk chińczyka z warkoczem. Ale ciotka, która ma cennego chińczyka na gwiazdkę podarowała, twierdziła, że jest przekonana o prawdziwości chińczyka, że prawie gotowa to przysięga stwierdzić.

Tak, był to naprawdę nadzwyczajny chińczyk z prawdziwej porcelany, pomalowanej pięknymi, różnokolorowymi farbami.

Siedział na niskim, bogato złożonym fotelu, z wielką godnością i powagą, co mu każdy przyznać musiał. Twarz mu zdobiły długie, obwisłe, cienkie wąsy, z tyłu głowy miał jeszcze dłuższy warkocz, a oczy tak skośnie tkwiły w głowie, że nawet żywy chińczyk napewno zazdrościłby mu tej ozdoby.

W jednej ręce trzymał dużą fajkę, z której mógł swobodnie palić, w drugiej filiżankę po dopiero co wypitej herbacie; a więc wyglądał, jak żywy chińczyk u siebie w domu.

Co prawda nie przebywał on w Chinach, nie mieszkał we własnym domu i dlatego zapewne miał taką smutną minę, bo tęsknota za ojczyzną jest ciężką, przykrą chorobą, która wiele zmartwień nam sprawia. Przechodząc taką ciężką chorobę, nie można mieć rozradowanej miny!

W rzeczywistości jednak nie to było przyczyną zgryzot i zmartwień chińczyka, nie dlatego miał taką smutną, udręczoną minę. — Miał on jedno serdeczne pragnienie, bo pochodziło ono z lewej strony, tam, gdzie każdy człowiek ma serce. Pragnął chociaż raz jeden, jeden, jedyny raz spojrzeć na lewo, ale to koniecznie na lewo!

Ale nie mogło się spełnić to gorące pragnienie, bo głowa jego była tak mocno i sztywno obsadzona, że mógł patrzeć tylko przed siebie, ciągle przed siebie!

Ach, to było rozpaczliwe położenie!

Dlaczego chciał nasz chińczyk spojrzeć koniecznie na lewo, a nie na prawo, to było jego tajemnicą. Nie miał zwyczaju zwierzać się ze swych skrytych pragnień.

„Bimbam — bimbam! — dzin — dzin — dzin — dzin!” dochodziły go z lewej strony cudne dźwięki, jakgdyby dzwonienie srebrnych dzwoneczków.

To było zachwycające! — Takie swojskie dźwięki! — Zupełnie jak w Chinach, we własnym domu!

Gdzie wisały te dzwoneczki — tego mógł domyślać się jedynie! — Malutkie dzwoneczki wisały napewno — o tym był przeświadczony — na dużej parasolce, a tę parasolkę trzymała w małej ręczce maleńka chinka, mająca maluteńkie nóżki, takie, jakie się znajdują tylko w Chinach ukochanych!

— Ach! — wdychał rozpaczliwie biedny chińczyk. — Och — o — och!

A tu ciągle z lewej strony dochodziły go dźwięki: „bimbam — bimbam! — dzin — dzin — dzin!”

— Ach, gdyby raz jeden spojrzeć na lewo — raz jeden tylko!

Ale czasami bywa niedobrze spoglądać poza siebie na lewo i niezawsze dobrze się nam dzieje, kiedy się spełniają nasze życzenia.

Którego dnia weszła do salonu mała dziewczynka, której mama wchodzić tam zabroniła.

Przysunęła sobie krzeszko do etażerki, aby obejrzeć chińczyka z fajką.

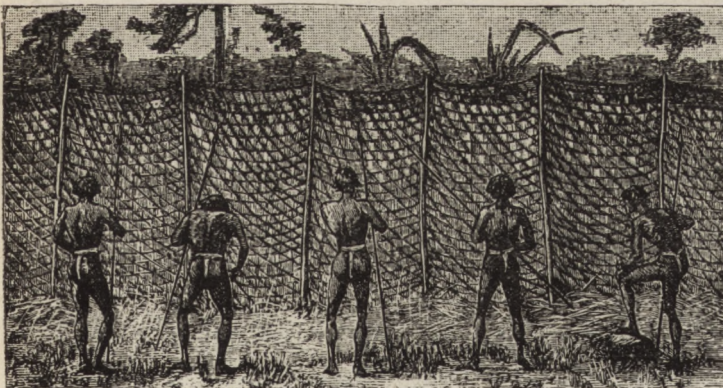
— Ach — jakież on ładny!

Bęc! — chińczyk padł na ziemię — krach — rozleciał się!

Dziecko zapłakało rozpaczliwie i uciekło z salonu.

Chińczyk w pierwszej chwili ogłuchł i zaniemówił. Ale kiedy poczuł, że jeszcze nie umarł, i że

Z AFRYKI.



Dzicy otaczają siecią łwa.

przy upadku rozbiła mu się jedynie długa fajka i filizanka, a on jest cały — przyszedł do siebie i zaczął się rozglądać.

Przedstawcie sobie radość i wzruszenie chińczyka, kiedy zauważył, że leżąc na ziemi, może spojrzeć na lewo, tam, skąd go dochodził dźwięk srebrnych dzwoneczków — tam na lewo!

Spojrzał i obezwładniał! Zrobiło mu się tak niedobrze, iż o mało co nie stracił ponownie przytomności!

Gdzie się podziała cudna chinka z maleńkimi rączkami, z dużą parasolką?!

Nic podobnego tam nie było, ale — o zgrozo! — tam, właśnie, tam na małym stoliku stał obrzydliwy — smok!

Miał on płomiennie czerwony język, wysunięty w całej długości z paszczy, długie, ostre pazury u nóg i długi, złoty ogon, którym mógł swobodnie poruszać. Smok poruszał ciągle ogonem, bo był dumny z niego; zresztą wszyscy, niestety, chwalą się tym, co mają najładniejszego. Na złotym ogonie wisało dużo srebrnych dzwoneczków, które dzwoniły pięknie: „bimbam — bimbam! — dzin — dzin — dzin — dzin!”

Smok, który też pochodził z Chin, ale nie był prawdziwym smokiem, zobaczywszy prawdziwego chińczyka na ziemi, rozwarł, jak mógł najszerzej, swą wielką paszczę. Chciał on połknąć chińczyka włącznie z długim warkoczem za jednym zamachem!

Na szczęście weszła do salonu matka, która siliła się rozciągnąć na leżącym na ziemi chińczyka. Ale, dowiedziawszy, że nie ma połamanych rąk i nóg, pocieszyła się.

— Można go zjeść! — powiedziała. — Po zjeściu będzie wyglądał jak nowy.

Tak też się stało! — Rzeczywiście wyglądał znówu jak nowy. Ale zjeziony chińczyk nie był już ten sam, co poprzednio: zmienił się do niepoznania. Teraz nie rozpaczał, że nie może się obejrzeć poza siebie na lewo, a jednakże był jeszcze smutniejszy i nieszczęśliwszy.

— Ach! — wdychał. — Ach! Jaki ja byłem szczęśliwy, kiedy nie mogłem spoglądać na lewo i kiedy, słysząc dźwięk srebrnych dzwoneczków, wierzyłem, że wisały one na dużej parasolce, którą drobniutka chinka trzyma w maleńkiej ręczce! — Ach!

A z lewej strony ciągle dochodził głos: „bimbam — bimbam! — dzin — dzin — dzin — dzin!”

Biedny chińczyk ze zmartwienia i zgryzoty żółkł, ale to zupełnie żółkł.

— Ach! — wdychał. — Niezawsze jest dobrze oglądać się poza siebie!

I w tym należy mu przyznać rację.

KASIA.

Łzami zaszyły oczka Kasi.

Bo pieściotka coś grymasi:

Nie je bułki, chce ciasteczka.

Chce konfitur zamiast mleczka.

— Ej! nie grymasz moja mała,

Bobym kochać cię przestała.

Rzekła mama.

— Nie, nie, mamo.

Kochaj, kochaj mnie tak samo!

Już nie będę grymasiła,

Będę grzecznie mleczko piła.

Zjadła bułkę, nie grymasi,

Wesołe też oczka Kasi.

Helena Bojarska.

Ojciec lis.

W piękny, jasny poranek niedzielny na samym początku wiosny, wczesne słońce wznosiło się właśnie tuż nad suchym, piaszczystym pagórkiem, po prawym brzegu rzeki.

Poza jedną z najwyższych wyniosłości na szerokiej płaszczyźnie, gdzie słońce najmocniej przygrzewa, czerni się niewielkie zagłębienie, prowadzące do wnętrza pagórka.

Tuż obok, śpiczastym swym pyszczkiem dotykając miękkiej murawy, leży lis ojciec i wygrzewa się na słońcu, które pieści jego gęste, brunatne futro. Rozciągnął się wygodnie, wielkim puszystym ogonem zatoczył wkoło siebie łuk i i ułożył się na przednich łapach. To jest ułożył się właściwie na jednej, zaś drugą ostrożnie i uważnie nakrył nieżywą wronę.

To nie na czatach dziś lis ojciec wyczekuje, bynajmniej: wypoczywa, wygrzewa się, i rozmyśla. Myśli nad tym, że dobrze mu się udało z wyszukaniem legowiska na to lato. Już w samym zaraniu wiosny, ledwie zmarznięta skorupa ziemi zaczęła tajać, postanowił, że tutaj osiadzie w tym roku. I natychmiast on i matka zaczęli tu kopać. Zaczęli tam, pod wielkim kamieniem, het, wysoko, na wzgórzu, gdzie to zwykle owe wspaniałe paprocie rozrastają się tak gęsto, że nikt nie byłby w stanie odnaleźć jakiegś dziury. Stąd wykopali długi korytarz, ciągnący się na południe aż pod grubym korzeniem drzewa. Wyjście było ukryte w ten sposób, iż nie można go było zauważyć z miejsca, w którym było wejście, gdyby nieszczęście kiedy zrządziło, iż ktoś spostrzegł lisa, wsuwającego się do swej kryjówki. Była to ciężka praca, gdyż często zdarzało się, iż natrafili na jakiś wielki kamień lub korzeń drzewa, aż trzeba było się ugiąć pod takim ciężarem. W nagrodę jednak za te trudy kryjówka stała się pewną i bezpieczną — naprózno do niej zechcieli strzelać nielitościwi ludzie.

I tam w głębi, we wzgórku, urządzili sobie wielką komorę mieszkalną, urządzili wygodnie i zacisznie. A przydało się bardzo, bo zaledwie zdążyli ją wykończyć, gdy oto zjawiły się któregoś wieczora na mchu obok matki cztery śliczne młode liski, więc też trzeba było dla nich dużo miejsca. Wówczas jednak lis ojciec z wielkiej radości popadł w taką dumę, iż, chcąc matce i młodym sprawić jakąś wielką uciechę, zapewnić im większą jeszcze wygodę, postanowił zbudować tuż przy domu rodzaj altany, wystawionej wprost na słońce. Wykopał znowu korytarz wpoprzek wzgórza i wyrównał mały placzyk, na którym można będzie przyjemnie wypoczywać. Był to niezwykle miły kącik, chociaż matka słusznie twierdziła, iż cokolwiek lekko-

myślnie było urządzać wejście tak wprost na oczach ludzi i tam szukać wytchnienia. Lecz suche krzaki i krzewy, palone przez słońce, wkrótce zaczęły zmieniać swą zieloną barwę na brunatną, bardzo zbliżoną do lisiego futra. Niemożliwym było, aby ktoś zdaleka mógł je rozpoznać; a zresztą któż i czego miał tu szukać? Droga, którą kroczyło było na pastwiska, była tak daleko, a w całej wiosce nie było ani jednego psa, któryby umiał iść za śladem; same głupie psy gospodarskie, ale te natychmiast lis ojciec potrafi wyprowadzić w pole. Nie, stanowczo, nie było się czego obawiać!

A jak udatnie wybrane było to miejsce dla wyszukiwania pożywienia! Wrony nie zauważyły dotąd lisiej rodziny, niektóre zbudowały swe gniazda prawie tuż obok — jakież to będzie wybór młodych wroniąt, gdy nadejdzie pora wylęgania się! Inne znowu, te, co nie miały gniazd, nocowały w krzakach, w dole nad samą rzeką. Tam właśnie upolował dziś ową wronę, a uczynił to tak zręcznie, iż jej towarzyszki nie spostrzegły tego wcale. Miał też na oku kilka par wielkich ptaków, gnieźdzących się na wzgórzu, na jesieni zaś z pewnością uda mu się zdusić parę młodych jagniąt. Do owej chwili niechybnie schwytać potrafi i zajączka, jeśli się bardzo o to postara. A już najlepsze ze wszystkiego to to, że tam, po tamtej stronie rzeki, gdzie najbardziej płytko i zarośli wiele, pływało kilka kaczek — był to najulubieńszy przysmak i matki i ojca lisa.

(Dokończenie nastąpi.)

ZAGADKI.

SZARADA.

Wspak *pierwsze* to spółgłoska, samogłoska *drugie*,
A *trzecie* to nazwisko poety niedługie.
Wszystko wraz miasto znane w uroczej krainie,
Które tam już oddawna taką sławą słynie,
Że kto je raz zobaczy, na światła przestworze,
Nie patrząc, syt piękna w grób już kłaść się może.

KWADRAT MAGICZNY.

a	a	a	a	rzeka	we	Włoszech
a	d	d	d	nazwa	śpiwu	
d	e	e	k	przykrycie	na	konia
r	t	t	u	napad	wojska.	

ZADANIE.

Z następujących sylab ułożyć dwa wiersze z „Pana Tadeusza”:

przer, zda, trzy, wał, szcze, gra, mał ewa, woj, ło, je
tu, się, róg ze ski, stkim, lecz, a, cho, gra, wszy, weiaż, ło, to.

ROZWIĄZANIE ZAGADEK Z NR. 32.

Szarada: **A-la-ba-ster.**

Figiel: **Sowa** lub **mewa.**

LAMIGŁÓWKA.

OsY, RosoŁ, ZimA, EpokI, ŁuB: Orzeł Biały.



Macierz Polska w Stanach Zjednoczonych AMERYKI PÓŁNOCNEJ.

p. o. Najśw. Maryi Panny Królowej Korony Polskiej

Organizacja łącząca młodzież polską obojga płci w pracach naukowych, patryotycznych i ratniej pomocy dla podniesienia ducha moralności i dobrobytu w społeczeństwie a szczególnie między młodzieżą polską.

Założona dnia 1go października, 1897 roku.

Inkorporowana przez Stan Illinois, dnia 4go września, 1903 r.

Odbarżona Błogosławieństwem Ojca św., Piusa X, dnia 30go czerwca, 1906 roku.

BIURO GENERALNE:

141-143 W. Division Str. Chicago, Illinois.

ZARZĄD GŁÓWNY:

Ks. Franciszek Gordon, C. R., Moderator; Julian Szczepański, Prezes; Agnieszka Nering, I Wiceprezeska; Maksymilian Brochocki, II Wiceprezes; Wincenty J. Józwiakowski, Sekretarz Główny; Władysław Sztanka, Skarbnik; Paweł P. Kucharski, Dyrektor; Julian J. Nejman, Dyrektor; Feliks Augustynowicz, Dyrektor; Franciszek Siatkowski, I Marszałek; Jan Szpekowski, II Marszałek.

Ks. Feliks Ladoń, Redaktor; Dr. Bolesław Klarkowski, Lekarz Główny; Ludwik Jankowski, Dyrygent Muzyki i Śpiewu; Teofil Gordon, Asystent Sekretarza Głównego; Ignacy Ciesielski, Bibliotekarz i Zarządca Klubu; N. L. Piotrowski, Doradca Prawny.

Posiedzenia Zarządu Głównego odbywają się w 2gi wtorek miesiąca wieczorem.

Godziny ofisowe Sekretarza Głównego w Biurze Generalnem: W każdy wtorek i piątek od godziny 7 do 9 wieczorem; Skarbnika: W każdy poniedziałek i piątek od godziny 7 do 9 wieczorem.

Klub Macierzy Polskiej, dla członków organizacji otwarty co wieczór, od godziny 7-ej do 10-ej. W niedziele, od godziny 3-iej popołudniu.

Do Macierzy Polskiej może należeć każdy Polak lub Polka religii rzymsko-katolickiej, liczący lub licząca mniej niż 45 lat wieku swego.

Nowe oddziały Macierzy Polskiej formować się mogą za porozumieniem się ze Zarządem Głównym Macierzy Polskiej. Osoby chcące się zająć organizowaniem nowego oddziału muszą otrzymać na to pisemne pozwolenie od Zarządu Głównego Macierzy Polskiej, który udzieli odpowiednich instrukcji, a po uformowaniu oddziału i załatwieniu formalności, wyda dyplom na mocy którego oddział otrzyma prawa i przywileje organizacji

Każdy nowo-wstępujący składa przed formalnym złożeniem przysięgi następujące opłaty: wstępne stosownie do wieku, za odznaki, za kwitariusz, za konstytucję i podatek miesięczny regularny, za czas od chwili przyjęcia go na posiedzeniu przez głosowanie. Opłaty wstępne są następujące: do lat 15 nieskończonych 50 centów; 16: 60c; 17: 70c; 18: 80c; 19: 90c; 20: \$1.00; 21: \$1.10; 22: \$1.20; 23: \$1.30; 24: \$1.40; 25: \$1.50; 26: \$1.60; 27: \$1.70; 28: \$1.80; 29: \$1.90; 30: \$2.00; 31: \$2.20; 32: \$2.40; 33: \$2.60; 34: \$2.80; 35: \$3.00; 36: \$3.20; 37: \$3.40; 38: \$3.60; 39: \$3.80; 40: \$4.00; 41: \$4.40; 42: \$4.80; 43: \$5.20; 44: \$5.60; 45 nieskończonych: \$6.00.

Kwitariusz 10c. Konstytucja 10c. Odznaki dla mężczyzn \$1.00; Odznaki dla pań \$1.25. Podatki: regularnie co miesiąc na fundusz obrotowy 10c, assesment regularny na pośmiertne co miesiąc 10 centów.

Assesment nadzwyczajny nakłada się stosownie do wypadków śmierci, obliczając i rozkładając sumę wypłacić się mającą, na równi wydatku na pośmiertne, na każdego członka z doliczeniem jednego centa do każdego wypadku.

Oddziały podwładne mają prawo ustanawiać dla siebie waparcie w chorobie i w tym celu ustanawiać dla siebie podatki

W przypadku śmierci członka Macierz Polska płaci spadkobiercom za każdy miesiąc przynależności członka do Macierzy Polskiej i opłacenie wszystkich podatków, sumę \$10.00, stopniując aż do wysokości \$500.00 biorąc jako podstawę w obliczaniu wysokości pośmiertnego opłacone assesmentu miesięczne.

Urzędowe sprawozdanie z obrotu funduszków Macierzy Polskiej.

Przychody w miesiącu Czerwcu, 1907.

Sprawozdanie Sekretarza.			Sprawozdanie Skarbnika.		
Nr. Oddziałów.	Data otrzym. listy opłat.	Wykaz pieniędzy.	Nr. Oddziałów.	Data otrzym. przekaz.	Suma pieniędzy
I	1 Czer.	\$29.99	I	9 Sierpnia	\$29.99
II	8 "	16.22	II	14 Czerwa	14.37
III	9 "	16.68	III	8 Lipca	16.68
IV	11 "	1.12	IV	18 Czerwa	12.02
V	13 "	1.59	V	1 Lipca	18.58
VI	30 "	16.47	VI	26 "	16.47
VII	19 "	7.59	VII	9 Si r nia	7.59
VIII	12 "	19.88	VIII	3 Czerwa	19.38
IX	6 "	21.15	IX	" "	21.15
X	17 "	10.55	X	5 Lipca	10.45
XI	11 "	5.04	XI	2 Sierpnia	5.09
XII	25 "	43.14	XII	1 Lipca	48.72
XIV	25 "	2.37	XIV	1 "	21.37
XV	24 "	16.95	XV	28 Czerwa	16.95
XVI	8 "	4.40	XVI	5 "	4.41
XVII	15 "	4.50	XVII	26 Lipca	4.80
XVIII	22 "	10.24	XVIII	25 Czerwa	10.24
XIX	22 "	14.70	XIX	5 Li "	14.70
XX	4 "	16.75	XX	30 Czerwa	16.85
XXI	21 "	10.18	XXI	5 Lipca	10.41
XXII	10 "	5.54	XXII	21 Czerwa	5.54
XXIV	30 "	3.80	XXIV	5 Lipca	3.80
Złoty oznak Oddz. XI		5.10	Złoty znak Oddz. XI		5.00
Na Standard "	XXII	10.00	Na Standard "	XXII	10.00
Razem		\$ 348.85	Razem		\$ 347.56
Kasa		9,297.64	Kasa		9,296.67
Suma		9,646.49	Suma		9,644.23

Wydatki w miesiącu Czerwcu, 1907.

Nr. przekazu	Data	Suma	Nr. kwitu	Data	Suma
537	11 Czerwa	\$ 50	537	11 Czerwa	\$ 50
538	25 "	450.00	538	25 "	450.00
Suma		\$450.50	Suma		\$450.50

Zestawienie za miesiąc Czerwiec

Kasa	\$9,646.49	Kasa	\$9,644.23
Wydatki	450.50	Wydatki	450.50
Pozostaje	\$9,195.99	Pozostaje	\$9,193.73

Długi Oddziałów.

Nr. Oddziału.	Wykaz długów.
II	3.40
IV	.72
IX	.05
X	.20
XII	.02
XV	1.10
XXII	.01
Razem długi	5.60

Nadwyżki Oddziałów.

VII	.43
VII	2.91
Razem nadwyżki	\$3.34

Zestawienie:

U Skarbnika	\$9,193.73
Długi	5.60
Nadwyżki	3.34
Bilans	\$9,195.99

W. J. Józwiakowski, Sekretarz. W. Sztanka, Skarbnik.

P. P. Kucharski, }
Julian Nejman, } Dyrektorzy.
F. Augustynowicz, }

Cierpienia kształcą rozum poczciwego człowieka, i dają mu poznać te subtelne odcienie serca ludzkiego, których wesoły często spostrzedz nie jest w stanie.

* * *

Człowiek którego nie nauczone myśleć, nie pojmie nigdy budowy języka; dziecię, które pojęło zasady gramatyki, stanie się już myślącym człowiekiem.

Podajcie Nowe Adresa.

Członkowie Macierzy Polskiej mają niezwłocznie uwiadomić Administrację Macierzy Polskiej o każdej zmianie swego adresu, inaczej nie będą otrzymywali "Macierzy" regularnie.

Zmianę adresu należy przesłać na karcie pocztowej, podając dokładnie imię i nazwisko, stary adres i nowy, numer domu, ulicę i miasto, oraz dołączyć nazwisko Oddziału i numer swej książeczki podatkowej. Kartkę adresować:

MACIERZ POLSKA
141-143 W. Division St. CHICAGO.

Urzędowe zawiadomienie.

Niniejszem zawiadamiam Szanownych urzędników i członków Macierzy Polskiej, że miesiąc *Sierpień*, b. r. jest wolny od nadzwyczajnych podatków na pośmiertne, a zatem opłaty do kasy głównej w miesiącu sierpniu, 1907 r., wynosić będą 20 centów.

Win. J. Józwiakowski,
20-VII-07. Sekr. Główny. M. P.

OD SEKRETARZA GŁÓW- NEGO.

Do Szanownych Urzędników i Członków Macierzy Polskiej:

Okoliczności nie odemnie zależące zniewoliły mnie do przeniesienia moich godzin biurowych z poniedziałku na wtorek, a zatem:

Od dnia 1-go Sierpnia br. zachowuję i regularnie zachowywać będę moje godziny biurowe p. nr. 141-143 W. Division ul., w każdy wtorek i w każdy piątek wieczorem.

W inne dni i wieczory jestem na usługi Macierzy Polskiej za specjalnym z góry umówieniem się z interesentami.

Brat w Macierzy Polskiej
Wincenty Józwiakowski
Sekretarz Główny.

N. B. Skarbnik Sztanka zachowuje nadal poniedziałki i piątki.

Nekrologia.



ś. p.

JAN FRYDRYCHOWICZ

członek Nr. 11, w Oddziale IIgim, Św. Michała Archanioła, w parafii Św. Stanisława Kostki, przyjęty do Macierzy Polskiej, dnia 1go Października, 1897 roku, umarł dnia 19go lipca, b. r. licząc lat 23.



ś.p. **MARTA WALEWSKA**

(z domu Kwasiborska)

członkini Nr. 38, w Oddziale XVIIIym, Św. Heleny, w parafii Św. Stanisława Kostki, przyjęta do Macierzy Polskiej dnia 26go Kwietnia, 1905 roku, umarła dnia 3go sierpnia, b. r., licząc lat 17.

O STYLU.

(Ciąg dalszy)

Tę łatwość tylko sztuka i wprawą nabyć się daje; a najczęściej się zdarza, że im więcej czyje dzieło jest łatwym i naturalnym, tem więcej rękopisma jego są pokreślone. Co nas mało kosztowało pracy, to też zwykle mało wartości. Choćbyśmy i w szczęśliwym usposobieniu umysłu pisali, znajdzie się zawsze coś niedokładnego w myślach i wyrażeniu, ponieważ często w uniesieniu, w mnóstwie tłoczących się wyobrażeń, nie zdołamy wybierać. Dla tego najlepsi pisarze nie obejdą się bez gładzenia pism swoich. Pismo łatwe jest zawsze proste, a każdy piszący doświadczy, że im ściślej rzecz poprawiamy, tem więcej do prostych wracamy wyrazów.

Główną wadą przeciwną naturalności i prostocie jest nadętość.

Pochodzi ona z niewczesnej żądzy albo niemożności wydania coś wielkiego. Niewczesna troskliwość o wielkie myśli, gdy albo przedmiot tego nie wymaga, lub w naturalnej prostocie swojej już jest wielkim, sprowadza tę wadę. Są słabe głowy, które myślą, że w stylu piśmiennym wszystko być wielkie powinno. Ztąd naturalnie wynikać musi nadętość, która rzeczy najpospolitsze wielkimi słowy wyraża i myśli najprostszej, przeciw jej naturze, coś wielkiego chce dodać. Pisarze tacy są najniezdolniejsi. Słusznie podobny styl do ludzi opuchłych porównywany bywa: albowiem nie jest to moc naturalna i czerstwa, ale choroba umysłu.

Ten popęd tak zwykły w narodzie naszym, pochodzi z braku czucia delikatniejszych piękności. Tak jak ludzie zbyt osłabieni, już zużyli zmysł powonienia i smaku i tylko to czują, co drażni: tak w wielu smak do piękności jest za tępy, ażeby delikatniejszą pięknoscią wzruszyć się mogli. Nie wzruszy ich cicha, chociaż do głębi serca mówiąca namiętność, wszystko musi grzmieć i szumieć, aby ich poruszyć mogło. Cicha boleść jest dla nich niczem, przez zgrzytanie dopiero i rozpacz do serca przemówi. Skromnej wielkości nie umieją czuć, ale tę tylko, która się nadyma.

Godność jest także nieodzownym dobrego stylu warunkiem. Każdy piszący wystawić sobie powinien, że pisze do publiczności; czego by w obec niej nie miał wyrzec, tego nie może i pisać. W rzeczach mniejszej wagi, nawet lekkich i żartobliwych, niech sobie wyobraża, że jest między przyjaciółmi i w towarzystwie dobranym, znającym smak i przyzwoitość. Smak nabyty i taki wrodzony, niechaj go uczy szukać szczęśliwego środka między prostotą a płaskością, powagą a pedanterią, wesołością a tem co rubasznoscią zwiemy. Stąd wpływa, że god-

DZIENNIK CHICAGOSKI

NAJSTARSZE I
NAJPOPULARNIEJSZE DZIENNE
PISMO POLSKIE W AMERYCE.

WYCHODZI CODZIENNIE
z wyjątkiem niedziel i świąt,
o 8miu wielkich stronicach.

Podaje dziennie wszystkie wiadomości telegraficzne z całego świata.

Na żądanie posyła trzy
egzemplarze na okaz.

Cena na prowincyi:

\$3.00 rocznie, \$1.50 na pół roku,
75c na kwartał, 25c na miesiąc.

W mieście Chicago:

45c miesięcznie.

U roznosicieli egzemplarz 1c.

Pieniądze można przysyłać przez
Money Order lub w jednocentowych
znaczkach pocztowych.

Drukarnia

Dziennika Chicagskiego

wykonuje wszelkie prace w zakresie
drukarski wchodzące, szybko,
gustownie i tanio.

Księgarnia

Dziennika Chicagskiego

ma na składzie książki wszelkiego
rodzaju.—Katalogi na żądanie.

Wszelkie zamówienia należy
przesyłać pod adresem:

The Polish Publishing Co.,
141-143 West Division Street,
CHICAGO.

"Gazeta Polska w Chicago"

najstarsze czasopismo polskie w Ameryce
założone w roku 1873.

PRENUMERATA ROCZNA \$2.

Najstarsza Księgarnia Polska w Ameryce

zaopatrzona w książki wszelkiego
rodzaju. — Katalogi wysyłamy
darmo na żądanie.

Najstarsza i największa Intro-
ligatorka Polska w Ameryce,
wykonuje wszelkie prace w za-
kresie introligatorskim wchodzące.

Po wszelkie szczegóły piszcie pod adresem

W. Dyniewicz,
532 Noble ul., Chicago, Ill.

ność stylu polega na wyrażaniu się akiem, jak się wyrażają ludzie szlachetniejszych uczuć i wyższego wychowania. Grzeszą przeciw temu: wszelkie wyrazy obrażające smak, obyczajność i wychowanie; wyrazy dwuznaczne, i igraszki słów, lub wreszcie wyrazy niepotrzebnie skracane.

Ale godność stylu często więcej polega na duchu pisma, niżeli na wyrazach; powierzchowne wychowanie może nas uchronić od wyrazów nieprzyzwoitych, a toli przy zachowaniu zewnętrznego polotu, można się okazać namiętym lub gminnym. Tem się odznaczają najwięcej pisma krytyczne, które właśnie najwięcej powagi zachować powinny. Nakoniec godność stylu wypada zawsze z nieograniczonej miłości prawdy i z przekonania o pożytku, do jakiego piśmem naszym zmiierzamy.

Rozmaitość stylu zawisła na tej sztuce wyrażania się rozmaitym sposobem, bez szkodenia innym własnościom pięknego stylu, a mianowicie jasności i godności. Wszystkie własności stylu powinny się wspierać, ale nie znosić.

(Dokończenie nastąpi.)

— Ależ z tobą to już naprawdę nie można wytrzymać! Cały dzień trzeba cię lajać!

— Niech się mamusia o to nie martwi, ja przeceiz wcale nie jestem obraźliwy.

Poeta: — Czy pan redaktor przyjmuje?

Chłopiec: — Powiem, jak mi pan da nikla.

— Poeta: — Dam przy wyjściu.

Chłopiec: — E, wtedy pan nie będziesz miał czasu.

Nowy instrument.

Znany lekarz lwowski dr. X. pasyjonowany myśliwy powracając raz z polowania, odwiedził jednego ze swoich pacjentów w myśliwskim kostymie i ze strzelbą.

— Na miłość boską, konsyliarzu, nie możesz że dać mi rady bez tego instrumentu — zawołał na ten widok pacjent, wskazując na strzelbę.

Lecznica Krakowska,

576 Milwaukee ave., na piętrze.

Leczenie: Gorącym powietrzem, Wibracją, Elektryką, Złassowaniem, Gimnastyką, Hydroterapią, Suggestyą, Kąpielami ziołowymi i mineralnymi

Władysław Krupa,

Telefon: Polk 1030.

Właściciel Zakładu.

Spółka Młodzieży Polskiej

poleca Szanownej Publiczności

swój wielki SKŁAD OBUWIA

pod firmą

"The Grand Shoe Co."

885 Milwaukee ave.,

pomiędzy Division i Ashland ul.

W tym składzie sprzedaje się trzewiki modne i trwałe dla mężczyzn, dam, młodzieży i dzieci po cenach umiarkowanych.



JÓZEF KORZENIEWSKI,

Przedsiębiorca pogrzebowy
i balsamator.

Wypożycza powozy na pogrzeby, chrzestny, itp.

318 N. Carpenter ulica.

Telefon Monroe 045.

— Otwarte w dzień i w noc. —

Fotografie!

Wykonujemy w najnowszym stylu i najmodniejszych pozycjach. Ślubne fotografie wykonujemy z wielką akuratomnością; nawet w dni pochmurne i deszczowe wykonujemy fotografie pod gwarancją. Jedyna galeria, która posiada światło Rembleta. Ceny niższe dla grup, towarzysztw i dzieci.

Extra dla nowożeńców!

Dajemy jako prezent piękny portret
wielkości 16x20.

St. Adamkiewicz & Co.,

właściciele zakładu fotograficznego

AMERICAN PHOTO ART STUDIO,

685 Milwaukee Avenue,

— pomiędzy Augusta i Noble ulicami. —

FRANK KLAJDA

Ciesla, Budowniczy i Kontraktor.

Wykonuje wszelkie roboty szybko,
starannie i po bardzo niskich cenach.

595 Dickson ul. Tel. Polk 225

OGŁASZAJCIE SIĘ

w „MACIERZY POLSKIEJ”.

NAGRODY

— dla —

Członków i Członkiń
pracujących nad
powiększeniem szere-
gów Macierzy Polskiej.

Nagroda I-sza:

Za 10 nowych członków lub
członkiń.



(Dla pań i dla mężczyzn.)

Ten wspniany szczerzoty medal, do noszenia na piersi lub też jako broszka, z pięknie rytowanym napisem "Hołd zasłudze" na przodzie, a nazwiskiem odznaczonej lub odznaczonego na odwrotnej stronie. Ozdobna pamiątka na całe życie, którą każdy z dumą nosić będzie.

Za 10 nowych członków lub
członkiń.



(Wyłącznie dla mężczyzn.)

Ten elegancki, szczerzoty

medal z naszym godłem, w formie bryloka do zegarka, z nazwiskiem odznaczonego rytowanym na odwrotnej stronie. — Rzecz piękna, cenna i trwała, która każdemu się spodoba.

Nagroda II-ga:

Za 5 nowych członków lub członkiń.



Sliczny, szczerzoty oznak honorowy dla wszystkich członków, do noszenia na piersi, na klapie surduta, lub jako broszka, zawsze i wszędzie.

Nagroda III-ga:

50 centów

Za każdego nowego członka lub nową członkinię Macierzy Polskiej.

Kto już ma oznak honorowy lub też złoty medal, albo woli go-tówkę raczej niż pamiątki, ten lub ta mogą zarobić sobie 50 centów za każdego członka wprowadzonego do Macierzy Polskiej.

Po najlepsze szczerzo - złote ślubne obrączki idźcie do jedyne-go polskiego składu zegarmistrzowskiego na Milwaukee ave.—do

M. Wojteckiego,

677 Milwaukee ave.



SUMMER CLEAN-UP

NOW let everybody get a bargain; will save you from \$3.00 to \$8.00 on Men's spring and summer Suits

Sale Prices \$4⁸⁸ \$6⁸⁸ \$9⁸⁸ \$12⁸⁸

THE ARMITAGE
Milwaukee and Armitage Ave's

Telefon Monroe 1295.

JEŻELI CHCECIE

kupić lub sprzedać property, grunt lub farmę, albo pożyczyć pieniędzy na budowę lub zakupno, to zg. ście się do nas my wam najlepiej usłużymy

A. J. Kowalski & Sons,

625 Noble ul., Chicago.

JAN KOWALSKI,

agent ubezpieczenia od ognia członek Fire Underwriters Association.

Asekurujemy od ognia w najlepszych kompaniach. Wyrabiamy wszelkie papiery legalne.

Artystyczne Grenowanie i Dekorowanie Freskiem i Tapetami

MAX BROCHOCKI,
Malarz i Dekorator.

Wykonuje wszelkie roboty w zakresie malarski wchodzące.

595 Holt Ave., - CHICAGO.

Pierwszy Polski Zakład

INTROLIGATORSKI,

812-14 MILWAUKEE AV., róg HADDON,
CHICAGO, ILL.

podejmuje wszelkie oprawy książek, to jest nakłady całe lub pojedyncze, jako to: książki biblioteczne, do nabożeństwa, nauki, książki szkolne i t. d. po cenach u miarkowanych. Każda robota wykonana w naszej pracowni będzie gustowna i trwała, za co ręczymy naszym klientom.

OLSZOWY I SPÓŁKA,

812-814 Milwaukee Ave.
CHICAGO, ILL.

N. L. PIOTROWSKI

ADWOKAT.

Praktykuje we wszystkich sądach.

Ofis: 59 Clark ul., róg Randolph

Pokój 307, 3cie piętro. Tel. Central 608.

Wieczorem 605 Noble ul. Tel. Monroe 247

Mieszk. 80 Humboldt Blvd. Tel. Humboldt 1844

Ogłaszajcie się w
Macierzy Polskiej.